

Albert Boissiere.

Człowiek bez twarzy.

3

(Ciąg dalszy).

„Co się zaś tyczy męża nieszczęśliwej ofiary, — również zaginionego — i to otacza tajemnicę jeszcze większym mrokiem — to pozostawił on na stole, na widocznym miejscu w swej pracowni, list adresowany do swego szwagra, pana Marcadiana, w którym obwinia się o przypadkowe zabicie swej żony i prosi sławnego adwokata o zaopiekowanie się jego dwojgiem dzieci, córką Ewelina i synem Polidorem.

„Pole więc jest otwarte do wszelkich hipotez i od samego początku śledztwa taka masa nasuwa się sprzeczności, iż władze gubią się po prostu w najróżnorodniejszych przypuszczeniach.

„Z zeznań bowiem matki Carre i jej sąsiada wypływa niezbicie, że to oni dopiero poinformowali wracającego z nad brzegów Marny pana Barrabasa o tragicznym zdarzeniu, o którym sami dowiedzieli się od jego służącej. Wydaje się zupełnie pewnym, że pan Barrabas był nieobecnym w domu w chwili spełnienia zbrodni — lub też w chwili przypadku, jeżeli można tu dopuścić przypadek. Ponadto list rzeźbiarza, o ile tylko jest on szczery, z prośbą o opiekę nad córką i synem, czyni jeszcze mniej zrozumiałą ucieczkę tego ostatniego. Młoda zaś panna, gdy po wielu staraniach, jakie jej okazano, przysłała do przytomności, wyznała, że nic nie wie o dramacie, gdyż zaraz, jak brat przyszedł do niej i oznajmił: „Znalazłem mamę bez życia w pracowni!“, wpadła ze wzruszenia w głębokie omdlenie. Dowiedziawszy się zaś po ocuceniu o liście ojca, dodała, że nic nie pamięta o jego powrocie do domu, ani o odjeździe samochodem.

„Natychmiast zostały nałożone pieczęcie i śledztwo trwa nadal... Szef służby bezpieczeństwa, zawiadomiony o tym wypadku, wysłał zaraz dwóch swych najlepszych agentów na miejsce przestępstwa. Pan Marcadian, wezwany telefonem, przybył po południu do Bry sur-Marne“.

(Patrz wiadomość z ostatniej godziny).

Nie wiele się z tego dowiedziałem... Doznałem tylko wielkiej ulgi. Moja ukochana córka Ewelina miała tyle przytomności umysłu, iż zacnowała milczenie, tyle ludzkiej odwagi, iż nie wydała swego brata, Polidora — i tyle przenikliwości, iż z listu mego odgadła to, z czego ja sam nie zdawałem sobie jasno sprawy, gdy to pisałem. Obróciłem dziennik na następną stronę i spocząłem wzrokiem na „ostatniej godzinie“.

„Tajemnica z Bry-sur-Marne zamiast wyjaśniać się, zaciemnia się coraz bardziej.

„Wczoraj po południu koło piątej godziny pan Barrabas zjechał samochodem na ulicę Michel Ange przed pałacyk, zajmowany przez jego szwagra. W nieobecności pana Marcadiana, który odjechał do Bry zaraz po otrzymaniu wiadomości o dramacie, służący adwokata, powiadomiony już o tajemniczym zabójstwie pani Barrabas, wpuszczał z przestrachu rzeźbiarza do domu, a sam pobiegł do komisaryatu, by uprzedzić policję o obecności męża ofiary. Gdy powrócił w towarzystwie agentów, samochód stał przed domem, pana Barrabasa jednak już nie było.

„Inny doniosły fakt. Wczorajem pan Marcadian złożył w policji list, otrzymany od syna rzeźbiarza, w którym nieszczęśliwy młody człowiek potwierdza, nie dając jednak żadnych wyjaśnień, treść listu swego ojca.

„Polidor Barrabas oznajmia swemu wujowi, że wobec takiego strasznego wypadku „i wobec faktu, że wie o zamiarze swego ojca, który nie może przeżyć ofiary wybuchu „swego gniewu, sam powziął podobne postanowienie, pragnąc jak najprędzej połączyć się z swymi rodzicami na tamtym świecie; w o- „piękę też kochanemu wujowi oddaje najdroższą siostrę...“

Można więc obawiać się podwójnego samobójstwa, co nie przyczyni się z pewnością do wyjaśnienia tajemnicy, lecz raczej do większego jej zagmatwania“.

Jeżeli przy pierwszym artykule detchnąłem swobodniej, to przy drugim nie posiadałem się wprost z radości.

A więc Polidor pojął mój plan, mój istotny plan i zabrał się do jego naśladowania, czego z głębi serca pragnąłem!... Tem nie mniej cpanowało mnie zaraz zwątpienie. Któż mi zaręczy, że jego list nie jest właśnie szczery? Kto mi zaręczy, że nie wymierzy on sam sobie sprawiedliwości?... Tak!

przypominam sobie doskonale jego słowa: „Moje samobójstwo może być łatwo przypisane „wypadkowi“, który ty zmyślisz! Pamiętam jednak zarazem, że dodał zaraz: „Czyż samobójstwo, do którego jestem gotów, może być odpowiednią karą za zbrodnię, jakiej się dopuściłem?“

Odrzuciłem dziennik, wziąłem się obiema rękami za głowę i starałem się odgadnąć, jaką karę mógł on dla siebie wymyśleć! I nie mogłem znaleźć żadnej odpowiedniej, jak sam się wyrażał, za tak straszną zbrodnię! Główną rzeczą, o jaką mi chodziło, nie było to, czy Polidor żyje, czy nie, lecz aby był jakby umarły, tak jak ja, a przez to zabezpieczony od poszukiwań policji. Dopóki znajdować się będziemy w takim stanie, niema obawy, by prawda została odkryta. Liczyć jednak na to, by i memu synowi przyszedł w pomoc taki szczęśliwy zbieg okoliczności, jak mnie, byłoby prostym szaleństwem. Koniec końców pogodziłem się z myślą o jego samobójstwie i nie jedną łzę uroniłem na wspomnienie o tym nieszczęśliwym synie.

W tak przygnębionym nastroju zastał mnie Joe Duncan. Ostrożnie otworzył drzwi i ukazał się na progu, wraz z chłopcem od krawca z całą masą ubrań na rękę, które złożył następnie na krześle. Wczoraj wieczorem opuściłem go jako uprzejmego fryzjera, dzisiaj rano przedstawił mi się jako gorliwy służący. Oczy jego błyszczały nieukrywaną radością. Z wyciągniętą ku mnie ręką podszedł do łóżka i rzekł otwarcie:

— No, jak to tam było, mówiąc między nami... zbrodnia czy wypadek?

Przeczytał już dziennik! Widział mój portret. Wiedział już, czego ma się trzymać.

— Żeby to ja sam wiedział! — odpowiedziałem.

— No... no! — zaczął się śmiać... tęgi z pana zuch... nie prędko się z panem policja zobaczy! Jest pan dla mnie nieocenionej wartości!... Ofiarowałem panu wczoraj dwieście tysięcy dolarów... sto tysięcy za Marcadiana i sto tysięcy za Jonatana Brentano! A dzisiaj nie oddałbym pana i za podwójną cenę! Nie opuszczę rzeźbiarza Barrabasa i za czterysta tysięcy dolarów! Mczesz się niczego nie obawiać. mój przyjacielu!

Nazwał mnie „swym przyjacielem“, byłem więc zupełnie uspokojony!... Mówił dalej żartobliwym tonem:

— Pan więc jest artystą! Myślałem też zaraz, co za dziwny jegomość! Jeżeli by też panu przyszła później — gdyż my nigdy się już nie rozejdziemy, mój stary przyjacielu, Jonatanie... to już postanowione — fantazyja wziąć się do gniecenia gliny i gdyby pan zechciał zrobić na przykład statuetkę Opatrzności, zdaje mi się, że najlepszy model będzie pan miał pod ręką — i przy słowach tych uderzył się pięścią w piersi, wyprostowując się przedemną całą swą wielką postacią.

Zmienił zaraz temat:

— Żywo! wstawaj, Jonatanie... Nie mamy czasu do tracenia na różne błahostki.

Mówiąc to, wskazał ręką na leżące na łóżku dzienniki. Ubrania mego dotknął się z wielkim obrzydzeniem.

— Cóż to za jakieś bufiaste inekspresimable? Jakże to można nosić?... A ta marynarka... a to, to się nazywa krawat? Zrobi mi pan przyjemność, okazując więcej gustu na przyszłość!

Rozłożył przedemną kompletny garnitur w ciemnym kolorze i skrojony według ostatniej mody... Na krześle położył czapkę sportową, białą koszulę flanelową, żółte trzewiki o szerokich podeszwach i całą masę innych części garderoby!

Wyskoczyłem z łóżka...

— Doskonale! — zawołał Joe Duncan... Niech pan dokona swych rannych ablucji, a ja tymczasem wypalę cygaro.

Gdy się ubrałem w swój nowy garnitur i stanąłem przed nim, nie mogłem powstrzymać się od wyrażenia swej pochwały na mój widok i dodał znacząco:

— Ale co najdziwniejsze, co jest w istocie niezwykle dziwne, że pan najzupełniej jest podobny do mego przyjaciela z Bostonu, który zginął w pewnym wypadku w górach... A *propos!*... czy pan nie jest przypadkiem krótkowzrocznym?

— Muszę się przyznać do tego, nie mogłem jednak zdecydować się na noszenie binokli.

— Ja pomyślałem o wszystkim... Proszę niech pan spróbuje...

I z kieszeni wyjął złote okulary, które mi sam założył za uszy, a następnie zaczął podziwiać.

— Ależ to cudowne!... A to z tego wszystkiego najważniejsze, że pan mówi po angielsku jak Conan Doyle!... Coś niezwykłego!... Siadajmy je-

dnak do stołu... Pora na śniadanie... Lucyja musi się niecierpliwić...

Przeszliśmy do jadalnego pokoju. Przepiękna młoda kobieta, o żywych dumnych oczach wstawiała do wazonów kwiaty o jaskrawych kolorach... Stół ozdobiła gustownie girlandami z róż. Przy wejściu naszym Lucyja obróciła się ku nam i uśmiechnęła się do mnie.

IV.

Przez dwa tygodnie, które już przeżyłem w tym tajemniczym domu, miałem dosyć czasu na poznanie wszystkich kątów i zakątków, nie mogąc się jednak pochwalić, bym poznał lepiej swych gospodarzy. Joe Duncan, którego widywałem tylko przy stole, pozostawał dla mnie ciągle niezrozumiałym, a nie mogłem się spodziewać, bym się czegoś o nim dowiedział od dwóch jego negrów, z ich wiecznie głupim „panie“. Co zaś do Lucyj Weill, przy której Dzim pełnił obowiązki najczujniejszego stróża, to nie korzystała ona z tej swobody, co ja... Mieszkała obok mnie, okna jednak jej pokoju były zaopatrzone w potężne żelazne kraty. Nie wolno jej było na krok stąpić do parku, a nawet nie mogła przejść ze swego pokoju do salonu, by nie szedł za nią Dzim, który miał rozkaz strzelania do Lucyj przy pierwszej próbie ucieczki. Nie zdradzała ona zresztą podobnego zamiaru. Była to piękna, nawet bardzo piękną dziewczyna, o regularnych i miłych rysach, przypominających typ semicki, o rozkosznych ustach, dość czerwonych i trochę wilgotnych, które jednak rzadko się odzywały. Nie okazywała żadnego niepokoju, ani też zadowolenia ze swego losu, lecz była jakby zrezygnowana, a w gruncie rzeczy obojętna na wszystko.

Widywałem ją codziennie, lecz czy to, że byliśmy krępowani dozorem Dżima, czy też, że nie dowierzaliśmy sobie wzajemnie, rozmowy nasze były bardzo banalne, bez najmniejszego napomknienia o naszym obecnym położeniu... Widocznym było, że ona wie o roli, jaką mam odgrywać względem niej, powierczoność jednak moja, jak to zauważyłem z jej badawczego przyglądania się mnie, nie bardzo dodatnie wywierała na niej wrażenie. Nawzajem też i ja zachowywałem się względem niej z widoczną obojętnością.

Dnia tego Joe Duncan opuścił nas po śniadaniu. Od starego wina i wielu trunków, które wtedy wypił, twarz jego stała się purpurową. Był w doskonałym humorze. Przed wyjściem oznajmił mi:

— Wszystkie idzie, drogi Jonatanie, jak po masle... Przepięknie już potrzebne kroki w ambasady i jutro w merostwie w Nenilly zostaną ogłoszone zapowiedzi!

I wyszedł, zacierając z zadowolenia ręce.

Pozostałem sam z Lucją w wielkim salonie rokokowym. Ona położyła się na kanapie i zapaliła papierosa. Leżąc z głową, niedbale wspartą na poduszce, zdawała się nie myśleć o czem innym, jak tylko o puszczaniu w górę kółek z dymu.

— I jakże, master Brentano — odezwała się do mnie po chwili dźwięcznym i miłym głosem — czy w dalszym ciągu jest pan zdecydowany do odgrywania tej malej komedii?

— Tak zdecydowany, jak pani przymuszona! — odparłem.

— A jaką korzyść myśli pan z tego osiągnąć? Przypuszczam, iż pan nie spodziewa się, bym do pana kiedykolwiek należała?... Czy pan, drogi przyjacielu, nigdy nie przyjrzał się sobie w lustrze?... I łobuzerskim tonem, który był w tak rażącej sprzeczności z jej spokojną postacią i czystym profilem pięknej, melancholijnej kobiety, zanuciła:

— Ach! la, la! to twa buzia ta motyka!

— Istotnie, pomyślałem, co za dziwnie skomplikowana natura tej dziewczyny... Nie znam wcale Williama Duncana, doktora psychiatry, zakochanego do szaleństwa w tem stworzeniu i bardzo mało znam jego ojca, milionera, pewny jednak jestem, że ani jeden ani drugi nie wie, z kim ma do czynienia...

By przeciąć tę niezwykłą jak dla narzeczonych rozmowę, a zarazem będąc i rozdrażnionym taką oceną siebie, rozłożyłem dziennik i chciałem pograć się w czytaniu, gdy ona znowu zaczęła.

— Jest pan grzeczny jak zwykle!... Niechże pan rzuci tą szmatę i porozmawiajmy. Jaki cel pan ma w odgrywaniu tej roli?... Czy jest pan zapiącony?

— Szczodrze!

— Aha! w takim razie możemy się porozumieć!... Ja kocham Williama! Znałam go jeszcze jako studenta w dzielnicy łacińskiej... Już sześć lat, jak jesteśmy razem... Pan pojmuje... przyzwyczajenie...

Zrobiła przytem jakiś dwuznaczny ruch, w którym nie było jednak żadnego przekonania ani wy-